



Niezwykajna codzienność

ANTOLOGIA NAGRODZONYCH
w XII Ogólnopolskim Konkursie Poetycko-Prozatorskim
dla lekarzy i lekarzy dentystów
PULS SŁOWA

Niezwykajna codziennosc

Niezwyyczajna codziennosc

ANTOLOGIA NAGRODZONYCH
w XII Ogólnopolskim Konkursie Poetycko-Prozatorskim
dla lekarzy i lekarzy dentystów
PULS SŁOWA

Warszawa 2021

Wydawca:

Unia Polskich Pisarzy Lekarzy

Naczelna Izba Lekarska

Okręgowa Izba Lekarska w Warszawie

ZLP Oddział Warszawa

SZPZLO Warszawa Praga-Północ

Redakcja: Maria Żywicka-Luckner

Patronat medialny konkursu:

Gazeta Lekarska

Puls

Własnym Głosem

ISBN 978-83-955228-6-4

Korekta: Zofia Mikuła

Opracowanie graficzne i skład: Elżbieta Zawadzka

Druk: Wydawnictwo Diecezjalne i Drukarnia w Sandomierzu, tel. 15 64 99 700

Codziennosc jest jednak niezwykajna – pisze jedna z nagrodzonych autorek – misterna i delikatna, ale tez jest – bollem co budzi wsród nocy.

Ten strach świadomego przebudzenia, nie tylko ze snu, pojawia się w wielu nadesłanych pracach. Przeważają teksty niepokojące, taplające się w brutalności życia codziennego.

– Życia, gdzie książki na bibliotecznych półkach z *ranami na brzegach okładek*, a czytać przecież trzeba.

Podczas lektury Antologii doświadczamy na chwilę mistyczności Hellady i niemalże czujemy *niewidzialny niezbędny jak oddychanie wiatr* i sandały Hermesa.

Wówczas przestaje być dla nas ważne, czy autorzy w swoich pracach wyrazili to co czuli w chwili pisania, czy opisali emocje, które w nich narastały wraz z nabywaniem różnych życiowych doświadczeń, i czy pisanie było sposobem wyładowania, eksponowania lub tylko nazywania emocji, bo i tak – *czereśnia zakwitła krzykliwie*.

Majka Maria Żywicka-Luckner

Protokół z posiedzenia Jury

XII Ogólnopolskiego Konkursu Poetycko-Prozatorskiego dla lekarzy i lekarzy dentystów *PULS SŁOWA*

W dniu 9 września 2021 roku Jury w składzie: Aldona Borowicz, Waldemar Hładki, Maria Żywicka-Luckner (sekretarz) pod przewodnictwem Marka Wawrzekwicz, po zapoznaniu się z utworami poetyckimi i prozatorskimi nadesłanymi na konkurs postanowiło przyznać następujące nagrody:

w kategorii poezja:

I nagroda – **Bolesław Sawicki** z Łodzi – godło *Beasz*

II nagroda – **Zbigniew A. Łobodziński** z Mińska Mazowieckiego – godło *Asaf*

III nagroda – ex aequo – **Katarzyna Szewczyk** z Kamienia Dużego – godło *Jeżówka purpurowa*
Monika Szymczakowska z Otwocka – godło *Sosna*

Wyróżnienia:

Joanna Matlachowska-Pala z Opola – godło *Alium*

Agnieszka Rautman-Szczepańska ze Stockholmu – godło *Abrakadabra*

Wyróżnienia drukiem w kwartalniku społeczno-kulturalnym „Własnym Głosem”

Hona Dzajak-Muniak z Nakła nad Notecią – godło *#róża*

w kategorii proza:

I nagroda – **Dariusz Krasnodębski** z Sokołowa Podlaskiego – godło *Pieśń*

II nagroda – **Elżbieta Lipska** ze Stanisławowa Pierwszego – godło *Raban*

III nagroda – **Witold Kopeć** z Wąsosza – godło *Duch i Litera*

Wyróżnienia:

Zbigniew Kostrzewa z Łowicza – godło *Senior*

Wyróżnienia drukiem w kwartalniku społeczno-kulturalnym „Własnym Głosem”

Stefan Trzos z Łodzi – godło *Róbmy rój*

Jury składa podziękowania Naczelnej Izbie Lekarskiej, Okręgowej Izbie Lekarskiej w Warszawie, Unii Polskich Pisarzy Lekarzy, Związkowi Literatów Polskich, Dyrekcji SZPZLO Warszawa Praga-Północ za umożliwienie i pomoc w organizacji konkursu.

POEZJA

I nagroda

Bolesław Sawicki – godło *Beasz*

Wizyta Jezusa

Wczoraj przyszedł do mojego gabinetu ciemnoskóry 33-letni Palestyńczyk Jezus
Kurtka dżinsowa bardzo znoszona
zdarte zabłocone sandały
skóra spocona i brudna
oczy obrzękłe przekrwione

Co mogę zrobić dla Ciebie
Ty podobno jesteś dobry doktor
Nie nie pytaj o pesel adres ubezpieczenie czy mam pieniądze
już kilku o to pytało
Mieszkam wszędzie i wiem że śmierdę
chcę tylko abyś mnie dotknął

Touch my eyes

Półmaraton

Grudniowy poranek

Przebiegłem dystans półmaratonu w Lesie Łagiewnickim

Siedzę w kuchni z miską lanek z rodzynkami

Obserwuję gości za oknem na starym bałuckim dębie

sroki czarno-białe sójki niebieskie wrony szare gawrony czarne i inne

Skaczą misternie z gałęzi na gałąź

Chwytają precyzyjnie żołędzie

gawrony pazurami sójki dziobem

sroki i wrony błyskawicznie sfruwają po upadłe pod drzewo resztki

Czasami przyleci tabun rozkrzyczany

z wróżbą że

Ptasi raj bez mleka

A ja do tych lanek potrzebuję mieszkania kuchni prądu lodówki mleka

naczynia łyżkę ogrzewania ubrania

A gdyby maraton życia jak ptak

Cud

Stoję nad rodzinną mogiłą na cmentarzu w Pułtusku
Spoczywają tu też moi dwaj bracia zmarli jako noworodki w 1947 i 1964
w części cmentarza obok której kiedyś był kwartał dla samobójców
za parkanem
Podobno dla takich pewne było piekło

Odejście tego młodszego pamiętam
Tata obudził nas w nocy i wszyscy modliliśmy się
Później wóz zaprzężony w gniade konie i biała trumienka
Jazda do Świętego Krzyża za miastem

Panie dlaczego
Naprawdę ich potrzebowałeś
Nie wierzę
Zerwał się silny wiatr i zmiótł liście z mogiły
Mogłem dokładnie widzieć daty
i tym bardziej pytałem dlaczego
Bóg pozostawał niemy
Tyle set lat
Chyba od chwili
„To jest mój Syn umiłowany”
Ludzie przestają rozmawiać ze sobą gdy się pogniewają
Czyżby bogowie podobnie
Nagle czarne chmury ulewa i grzmot
jakby otwarcie nieba
i usłyszałem nie z góry lecz z tyłu

Głos

Braciszku co ty tu robisz

II nagroda

Zbigniew A. Łobodziński – godło *Asaf*

a jeżeli to właśnie

a jeżeli to właśnie
spadło ich podobno na ziemię miliony

a jeżeli na każdego anioła broniącego dostępu do nas
przypada jeden demon
byłaby to przerażająca wizja
lecz nie taka niemożliwa

a jeżeli prawdą jest co mówią stare księgi
i ten może nie najlepszy ze światów
zbliża się nieuchronnie ku końcowi
bez względu na to co o tym sądzimy

może powinienem częściej uśmiechać się do sąsiadów
być mniej zgryźliwy

a jeżeli to właśnie

czterech jeźdźców osiodłało konie
i do kulbak przytwierdziło nie tylko moje grzechy
wyruszyli w świata cztery strony

Mińsk Mazowiecki, 19.11.2020

Wiatr na Krecie

jak nie polubić wiatru na wyspie każdej wyspie
i poezji Nikosa Chadzinikolau
urodzonego w Trifylli który taki wiatr potrafiłby opisać
w gruncie słowa w niekłamanym duchu Hellady
ale poeta milczy nie ma go już pośród nas
czy tu na Megalonissos wiatr bez picu bywa niebywały
kto opíše naturę tego wiatru co na podobieństwo bryzy roznosi
drobinki piachu w efekcie Tyndalla
z morską pianą
znad skalistych i tych mniej skalistych wybrzeży
naturę szaro-rdzawego wiatru o kierunku *west nord-west*
co ławice obłoków przetacza nad wyspą
kto naturę ukaże tego wiatru dającego ochłodę co zwiewnie powiewny
przeciera sobie przestronność wśród powietrza
gdy klarowny błękit rozpięty na gór grani
topi się w letnim upale
kto wreszcie opisze wiernie ten niewidzialny niezbędny jak oddychanie wiatr
co niby petasos kerykejon czy uskrzydłone sandały Hermesa
ujawnia niebiańską mityczność
garście dwie istotnych faktów zebrałem i mam zapisane
w brulionie-notatniku moim z podróży
stały się dla mnie zarzewiem i kanwą by napisać wiersz
o wietrze tym jak silnie rozwichrza się w kreteńskie *meltemi* –
zaciekle i zawsze od morza
lokalni hardzi *chailans* i synoptycy z Kampos Keramia
mawiają że dmie zwykle w kilkudniowych cyklach potem cichnie
obserwuję baczenie każdy jego przyływ i brak tchnienia
kto mieszka na wyspie ten wie
że wiatr przynosi ulgę

dobrze tę prawdę znali preantyczni *peuples de la mer*
dzisiaj doskonale sobie z tego zdaje sprawę
Kreteńczyk każdy z krwi i kości

Kreta – okolice Rethymnonu, 14.06.2021

Pogodzony

nie liczę wcale na snopy iskier
spod narowistych kopyt
skrzydlatego rumaka

nie urodziłem się Bellerofontem
królewiczem Koryntu homerowym herosem

i daleko mi do zaklinacza koni
nie oczekuję srebrnej manny z wysoka

bo żaden ze mnie biblijny profeta

zresztą moje słowa nie są tak krnąbrne
jak za czasów młodości nie wniebowstępują buntem przeciw Bogu

nie dla mnie bajroniczne przesilenia

moje serce osłabło w krzywdach
uporze w wierze i w chorobie
osłabło moje serce

w cierniach modlitw bez nadziei w nieufności
przesiewając słowa zatraciłem surowość

świata nie rozgryzę nie obrócę na nice

świat stoi na głowie

Mińsk Mazowiecki, 10.10.2020

III nagroda *ex aequo*

Katarzyna Szewczyk – godło *Jeżówka purpurowa*

Zimowy spacer

Zmierzcha. Śnieg pada na pola pogrążone
w głębokiej hibernacji. Rozwijają się białym,
puszystym dywanem aż po niewyraźny horyzont.
Zdaję się być jedynym człowiekiem na ziemi
przenikniona ciszą –

takie jest wrażenie. Obecność i obcość
wirują współobjęte. Ciemność podchodzi
bliżej ośmielona bezruchem, zapatrzeniem
i bardziej niż zawsze skamle samotność.

Czas powrotu. Do domu. Do świata.
W mroku płynę, w mroku bezgłośnie tonę,
w oddali mającą światła pierwszych lamp.

Nad moim łóżkiem

Nad moim łóżkiem przepływa w złocistej ramie żaglowiec
w migotach dnia jaśniej morze spękane turkusem
i wieje wiatr co żagle nadyma przechylając stary szkuner

ten morski motyl ze złożonymi skrzydłami zdaje się
wyrzuć z nieznanej współczesnym dymensji
w chybliwym swym locie złapany piórem malarza

motyle naszych dni również zastygną
na płótnach malarzy płynącego wieku
czy przyszłe pokolenia znajdą w nich piękno
jakie my odnajdujemy w starych obrazach?

Dni zdają się być głuche

Dni zdają się być głuche
jak pustynne noce
gubią się w latach
jak palimpsesty alkoholowe

krzykiem dzikiego ptactwa
niosą się po wodzie
a ołowiane niebo stapia się z ziemią

poranne kawy kolejne grudy myśli
za oknem pijany człowiek człapie
grzęźnie co rusz w gęstym błocie
chwieje się chwieje jak te dni

zawinięte w niezgrabny tobolek
który dźwigasz w swojej podróży
a w sercu tłące węgle wspomnień

jak żarzący się w oddali
napotkany krzak dzikiej róży

III nagroda *ex aequo*

Monika Szymczakowska – godło *Sosna*

Przedwiośnie

Tylko przedwiośnie
Potrafi tak kłaskać
Szarym błotem
Na tającej ziemi
Warstwą wody
W lodowej zmarzlinie
Mokrą skarpetką
W nowym bucie
Który miał być niezłomnym
Burym dniem
I jeszcze bardziej szarą nocą

Brnę
Idę
Bo mimo wszystko
Bo musi być lepiej
Bo jeszcze trochę
Bo widać kres
Bo wiosna tuż tuż

Życiowe czekanie

Jak zawsze
Na łaskawszy czas
Albo na więcej czasu

Na lepsze jutro i buty
Wodoodporne i piękniejsze

A gdyby tak stanąć

Twardo na zmarzniętej ziemi
Nawet w tym mokrym bucie
Który miał być niezłomnym

Stanąć po szyję w dniu
Zalany szarością

Tu i teraz
Na wyciągnięcie ręki

Tu i teraz
Nasze i pewne

Tu i teraz
Trwa

Otwock, 25.01.2021

Siatka na motyle

Uzbroiłam oko
W szeregi ogniskowych
W szkła obiektywów
W rzędy luster

Idę

Łapie ulotne
Jak skrzydła motyla
Jak słonecznice
Ogonem trzepoczące

Chwile

Odważna
Bo w orężu z przysłony

Uważna
Bo terażniejszość sublimuje

Łapie świat
Na wieczność
Na bezkres czasu

Łapie świat

Ale chromy
Odarty z innych zmysłów

Świat który nie pachnie
Słodko kwiatem lipy
Głuchy nie słyszy
Późnego śpiewu łąki
nie czuje dotyku ust
Mdły bez pamięci smaku

A jednak

Ukochane fotografie
Moje ułomne efemerydy czasu

Otwock, 17.07.2021

Ostatni

Nie doceniamy

Aż nagle przychodzi
Ten koniec świata
Życie wiruje
Upada do góry nogami
Tłucze się na miliony

A my zamieramy

Ostatnie zdjęcie
Rozmowa
Uścisk
Pocałunek

Takie zwyczajne
Miały przecież trwać
Wiecznie
Zawsze
Pewnie

Nic już nie ma
Nic nie będzie

Ta codzienność
I zwyczajność
Staje się niezwykajna
Ostatnia
Skończona

A my trwamy
Z sercem rozpadłym
Ze śladami łez
Na bladych policzkach
Z bólem co budzi
W środku nocy

Codziennność jest jednak
Niezwyczajna
Misterna i delikatna
Jak sieć pajęcza

Jutro może nie zdążyć się zdarzyć

Otwock, 11.06.2021

Wyróżnienia

Agnieszka Rautman-Szczepańska – godło *Abrakadabra*

Zmartwychwstanie

w niebie nie istnieje
kopia zapasowa duszy
pamięć utracona
wiruje w plazmie kosmosu
rozproszona w pył
smugi cytoplazmy
z dawnych matryc
buzują w bozonach
czekając na sformatowanie

a czereśnia zakwitła
krzykliwie

Wypożyczalnia słów

dusze hordami przechodzą
przez obrotowe drzwi czasu

w bibliotece
na trzeciej od słońca
pobierają ciało
i
zgiełkiem opowiadają
historię ludzkości

zamysł stworzenia piękny był jak kosmos
ale woluminy z węgla szybko tracą sens

wychodząc trzeba oddać w progu
żylaste naczynie na zużyte słowa

Joanna Matlachowska-Pala – godło *Alium*

Książki pokaleczone
owinięte w bandażę
z ranami na brzegach okładek
przykryte gazą
pозszywane

Nie istniejesz bez biografii
biblioteko
to co zdaje się jednym wersem
jest cięciem
bolesną pamięcią

Poszukiwaczu równowagi
tropiciele archiwów
wewnętrznych poruszeń
nie bój się żyć
nie bój się czytać

Przydomowy gąszcz późnego lata
jerzyki zamilkły
pasikonik olbrzym zgubił drogę
pachnie koper
dzikie pszczoły na przedpołudniowych odwiedzinach
słońce grzeje twarz i filiżankę z kawą
przesadzone rośliny prostują liście
myśl o jutrzejszym dniu błyska z nadzieją
jak szkiełko przetarte spokojnym wzruszeniem
świecie jeszcze zostań

PROZA

I nagroda

Dariusz Krasnodębski – godło *Pieśń*

Pigmalion i naddniestrzanka

I

Dziecko wodzi oczami za ostatnimi scenami filmu i napisami końcowymi. Wśród tych ostatnich potrafi już odczytać niektóre literki. To nie są jeszcze czasy reklam i przekazów satelitarnych. Spiker oznajmia dłuższą przerwę przed kolejnym planowanym programem i zapowiada krótki dokument. Na ekranie butelkowatego Aladyna pojawiają się rzadkie zarośla w zimowej scenerii, w tle las. Najpierw z oddali, potem sekwencje się przybliżają. Chłopiec dostrzega na nich stadko biegnących zwierząt. Saren – poznaje, gdy wyostrza się kadr. Zawzięcie sadzą przed siebie, w ostatniej chwili susami przeskakują większe nierówności terenu. Niektóre ze zwierząt potykają się, przewracają, odzyskują kontrolę i dalej niestrudzenie podążają przed siebie. Goni za nimi wataha wilków. Stale zmniejszają odległość, metr po metrze zbliżają się do uciekających. Po chwili są już tak blisko, że oba stadka mieszczą się w jednej klatce filmu, bez ruchów kamery i cięcia ujęć. Bliskość wilków staje się coraz bardziej niebezpieczna dla uciekających. Wtem z gromady tych ostatnich odpada mała sarenka. Mała lub chora, może jedno i drugie. Utyka i daremnie próbuje nadążyć za dorosłymi. Zajęte sobą nie zwracają najmniejszej uwagi na zwierzątko. Jego los staje się przesądzony. Kolejne potknięcie, następna przeszkoda, najmniejszy błąd. Jeden z wilków, najszybszy, wysuwa się naprzód. Tragedia jest kwestią chwili... Napastnik chwyta sarenkę za pęcinę, ofiara przewraca się i scena zamienia się w kotłowisko. Już są przy niej pozostałe wilczury ze stada. Zbijają się w ciżbę, w której nie widać ginącej. Chłopiec – ma nie więcej niż pięć lat – nie dostrzega już napastników, gąszczy, nawet ekranu telewizora... Oczy zachodzą mu mgłą z powodu zbierających się łez. Nie może wybuchnąć spazmami szloch. W tym domu mężczyźni nie płaczą. Zamiast tego, ogarnia go – jakby łyzy z krwiobiegami dotarły do najodleglejszej części ciała – żaloba. Ogarnia chłopca za każdym razem, gdy – a dzieje się to często – jest pokazywany ten filmik. Żaloba, która później, nawet w dorosłości staje się nieodłączną częścią jego życia. Ale teraz, gdy przed oczami ma jeszcze widziane przez łyzy zbliżenia ostatnich zdjęć, myśli że przez całe swoje przyszłe życie chciałby chronić przed wilkami utykające sarny.

II

Za Piatigorskiem kręta droga zaczynała piąć się wyżej i wyżej. Postsowieckie, ponure bloki ostatnich osiedli ustąpiły miejsca górskim masywom. Czuliśmy się tak, jakby z obu stron napierały na nas brunatne plecy olbrzymów. Od kilku dni ściśnięci w kabinach starych jeliczy oczekiwaliśmy kresu podróży.

Granicę z Kabardo-Bałkarią z daleka obwieszczał oliwkowy wóz pancerny. Jego bojowe przeznaczenie miało ukryć niedbałe NAUKA JAZDY wypisane kredą na stalowych burtach. Gdy spoza pojazdu wyłonił się żołnierz z karabinem dający ręką nakaz zatrzymania się, nasze ciężarówki zwolniły. Kilku żołdatów paląc papierosy prowadziło ożywioną rozmowę w cieniu betonowego kloca.

– *Gumanitarka!*¹ – krzyknąłem głośno przez na wpół otwarte okno. Żołnierz niechętnym gestem zezwolił na przejazd.

Skręciliśmy na południe wspak biegu rzeki Baksan. Jej dorzecza strzelały w górę stromymi pagórkami. Ciągnięta przez nas ciężka przyczepa szarpała na każdym podjeździe i przy każdej próbie przyspieszania, albo niebezpiecznie popychała do przodu, gdy zjeżdżaliśmy w głąb urwiska próbując wyhamować. Szamotaninie nie było końca. Wciąż jechaliśmy w górę wypatrując równiny, ale ze wszystkich stron otaczały nas ostre stromizny przedgórza Kaukazu. Droga zdawała się nie mieć końca. Ostry skręt w lewo wyprowadził nas ze ślepego zaułka, ale prawie otarliśmy się o północne zbocze wschodniej grani.

– Zobacz! – Robert wskazał palcem dwie dziewczyny w kusych, wyzywających kreacjach stojące na poboczu drogi. – *Nocz 'nyje babocz 'ki na stojankie*² – dokończył po rosyjsku. Często jeździł w te strony i przywykł do obowiązującego nazewnictwa.

Dwa pasy ruchu przy wjeździe na parking rozdzielał duży głąz. Swoim wyglądem przypominał serce. Kierujący ruchem mężczyzna biegł wzdłuż nas i dawał nawołujące ruchy ręką dla pozostałych samochodów. Posuwaliśmy się wolno obok kolejnych tirów. Nasze światła pozycyjne rozświetlały coraz to inną tablicę rejestracyjną. Irańską, rosyjską, ukraińską, iracką, litewską, turecką, polską... Ustawiliśmy ciężarówki promieniście kabina w kabinę tak, by przednie maski wozów tworzyły regularny łuk. W razie niebezpieczeństwa lepiej być blisko i móc widzieć siebie nawzajem. Każdy nosił w sobie bagaż złych wspomnień. Z samochodowej skrytki wyciągnąłem mapę Kaukazu i latarkę. Do Groznego było nie więcej niż trzysta kilometrów. Zgasły wszystkie światła. Umilkły silniki. Miłą ciszę przerwał skrzypienie otwieranych drzwi i coraz głośniejsze nawoływania kierowców.

Czubkiem buta zdeptałem niedopałek papierosa. Przy nieregularnych błyskach parkingowej latarenki wróciłem do samochodu. Wokół panowała złowroga cisza, a w wilgotnym stojącym powietrzu było coś z oczekiwania. Otworzyłem drzwi i ociężale wspiąłem się po schodkach. Mój kierowca siedział bez ruchu na swoim miejscu i popijał coca-cola. Sięgnąłem po górną leżankę, gdzie było moje miejsce do spania. Nim ją rozłożyłem, Robert powstrzymał mnie gestem. Następnie tą samą ręką, w której trzymał colę zatoczył szeroki w ciasnym wnętrzu łuk, wskazał coś przed nami i znacząco uniósł podbródek. Przez jakiś czas nie dostrzegalem przed sobą niczego godnego uwagi. Nagle, jak za sprawą czarodziejskiej różdżki zabłyśły światła pozycyjne wszystkich naszych ciężarówek. Poszybowała ku niebu kurtyna ciemności, przestrzeń przed nami zajaśniała, a skrzynie stojących na wprost samochodów stworzyły powstały w ten sposób amfiteatr. Na scenę wkroczyły bohaterki spektaklu. Kroczyły powoli, skromnie odziane w przewiewne bluzy, spódnice i suknie. Szły dystygowanie jedna za drugą, utrzymując nie więcej niż trzymetrowe odstęp. Głowy miały lekko uniesione, wzrok skierowany w kark idącej przodem, jakby tylko to pozwalało im utrzymać i odległość, i tempo.

¹ Pomoc humanitarna

² Prostytutki na postoju

Było w tym więcej wyuczonyj pozy niż dumy, więcej obojętności niż majestatu. Na skraju ciemności zatoczyły szerokie półkole i wróciły na podium. Przemierzały scenę posłusznie jak skazańcy. Gdzieś z boku, w pomroce bardziej czuło się, niż widziało obecność pilnujących je sutenerów. Dziewczyna idąca prawie na końcu, wyglądała na młodszą od pozostałych, być może lat odejmowała jej drobna budowa. Przycięte równo ciemne włosy opadały na ramiona, a jasna wzorzysta sukienka dodawała świeżości. Mimo że starała się utrzymać tempo marszu, wyglądała, jakby się słaniała. Zdawała się chybotać na granicy utraty równowagi. Na krótko chwyciła balans, po czym sytuacja z wahnięciem powtarzała się. Mimowolnie pragnąłem, by pomyślnie ukończyła zawrót na końcu sceny i wyszła na kolejną prostą.

Wybudził mnie zgrzyt i szczęk otwieranych zamków, skrzywienie uchylanych drzwi, tupot nóg na stopniach, odgłosy splunięć i chrząknięć na odwagę. W kolejnym akcie dramatu mieli wziąć udział także dotychczasowi statyści. Kobiety zbiegły z areny i skupiły się w bezładną gromadkę. Były wystraszone. Widzowie wyszli z kabin i podążali ku nim. Odezwwały się pierwsze głosy, dokonywano wyborów, słyhać było zdecydowane deklaracje, gniewne przepychanki. Zapanował jazgot jarmarku, targowiska. Poszedłem tam.

– *Idi so mnoj*³ – rozpoznałem kulejący rosyjski Zbyszka, kiedy wskazał kobietę wcześniej otwierającą pochod. – *Niel'zia!* – natychmiast powstrzymał go zdecydowany głos – *Eto Madam – SzeŃ*⁴ – z mroku wyłonił się krótko przystrzyżony, dobrze zbudowany mężczyzna w skórzanej kurtce. Pokażną szczękę pokrywał kilkudniowy zarost.

– Wobec tego biorę tą – Zbyszek, w mokasynach na wysokim obcasie ledwie górował nad dziewczyną w białej sukience w kwiaty. Palcami uniesionej ręki prawie muskał jej włosy.

– Ja też chcę tę – sprzeciwiłem się głośno. W powietrzu zawisło napięcie, jak przed ogłoszeniem werdyktu. Dwie może trzy sekundy, kiedy nie słyshałem ani rwetusu, ani wrzawy, dłużyły się w nieskończoność. Wreszcie Zbyszek opadającą z rezygnacją ręką ogłosił swoją przegraną.

Wymknęliśmy się z tłumu. Szedłem przodem w stronę samochodu. Kroki dziewczyny za mną ucichły, tylko domyślałem się jej obecności. Wierzyłem jednak w niezbywalną wartość pieniądza. Otworzyłem szeroko drzwi, usunąłem się na bok i przepuściłem filigranową postać przodem. Zastanowiłem się czy przywykła do takiej uprzejmości. Wsiadając obróciła się, ale widziałem tylko tył jej głowy. Okręcała się jak księżyc względem ziemi. Nagle poczułem zapach kobiety. Zwinnie wspięła się po schodkach i zniknęła w sypialnianej części stalowej niszy. Podążyłem za nią.

Schyłony, stanąłem w progu i obróciłem fotel pasażera, by jego oparcie przylgnęło do deski rozdzielczej. Przy moim czole zaczynał się biegnący wzdłuż górnej krawędzi przedniej szyby sznur trójkątnych proporców. Niczym stemple w paszporcie oznajmiały nazwy odwiedzonych przez kierowcę państw, miast i regionów. Zrobiłem pół kroku do przodu i z kuźniczym łoskotem zamknąłem drzwi. Opadła niechlujna firana oddzielająca leżanki i dziewczynę ode mnie. Słomkowe światło wnętrza zgasło. Polegałem jedynie na niepewnym widmie pobliskiej latarni, która migotała anemicznie, jakby wkrótce miała dać ostatecznie tchnienie. Chwyciłem za szew przyciężkiej zasłony, uniosłem, wetknąłem między podsufitek a poręcz i spojrziałem na dziewczynę.

Leżała na plecach na krawędzi dolnej kozetki. Prawą nogę wyciągnęła na całą długość. Lewa, zgięta w kolanie zwiśla luźno nie dotykając podłogi. Dziewczyna oddychała szybko, usilnie starając się stłumić oddech, tak, jakby pragnęła zniknąć. Nie patrzyła na mnie. Głowę odchyliła w bok, ku tylnej ścianie kabiny. „Czyżby szukała czegoś na powierzchni skaju?” – pomyślałem. Włosy skrywały skroń, policzki, rozsypywały się na po-

³ Chodź ze mną

⁴ Nie wolno. To Pani-SzeŃ

wieki, nos, skaj. Tak namalowałbym wściekłość i odrazę. Przysiadłem na fotelu pasażera. Czas mijał. Czekałem.

Z pozoru nie działo się nic. Piersi dziewczyny unosiły się coraz swobodniej i lżej. Po jakimś czasie nie powstrzymywała już oddechu. Siedziałem bez ruchu nawet nie czekając na dalszy ciąg. Serce biło mi mocno. Wtem poruszyła się. Obrót głową sprawił, że nasze spojrzenia skrzyżowały się i po raz pierwszy zobaczyłem jej oczy. Miały wejrzenie dobijanego zwierzęcia. Wzrokiem pytała mnie, czy zepchnę ją ze skraju przepaści, czy oszczędzę. Miała nie więcej niż siedemnaście lat. Drobny, kształtny nos na owalnej twarzy podkreślonej u dołu szeroką, półokrągłą krzywizną podbródka. Kredową, przybladłą cerę zaciemniały skośnie smużki włosów. Jednym gestem dziewczyna zgarnęła je na właściwe miejsce. Nie była ładna. Zwykła buzia, jakie spotykało się często we wschodniej części Europy. Później, wracając myślą do tej chwili określiłem jej twarz mianem „rosyjska”, z czasem nawet „ruska”. Szyję dziewczyny wydłużał kopertowy dekolt sukni w – teraz to widziałem – błękitne, kwieciste desenie, który przydawał krągłości jej delikatnym piersiom. Jasne plisy jedwabiu opadały na leżankę i podkreślały szczupłą talię i wąskie biodra. Widać było foremne kolana i zgrabne łydki. Nie zdjęła białych tenisówek. Wyczuwałem narastające wzajemne zakłopotanie.

– Jak masz na imię? – zapytałem, by je rozładować.

– Łarisa! – rzuciła od niechcenia. Nie miałem wątpliwości, że to tylko transakcyjne imię

– *Zo-dia-kal'-nyj znak Bli-znie-cy⁵* – W wyuczony sposób akcentowała każdą sylabę.

– Czego więcej?

Niespodziewanie wycelowała we mnie prawą dłoń. W palcach trzymała rozpakowaną już prezerwatywę. Wsparła się na wolnym łokciu, uniosła nieznacznie biodra i jednym ruchem podciągnęła sukienkę. Nie miała na sobie dessous.

– *Tiepier' bieri mienia!⁶* – powiedziała zdecydowanym głosem. Pochylony do przodu tkwiłem skonfundowany bez ruchu i bez słowa. Krótkie dzinsy kończyły mi się w połowie uda, gołe łydki ugrzęzły w szczelinę pomiędzy fotelem pasażera a kozetką. Prawe kolano wgniatało silnie jej krawędź na wysokości teraz już obnażonego biodra Łarisy. Wgniatało coraz silniej, czy to z powodu przyciasnej przestrzeni, czy...

– Ile chcesz? – próbowałem zdobyć się na niewzruszony, handlowy ton.

– Dwadzieścia dolarów – odparła obojętnie.

– Nie o to pytam! – skarciłem ją gniewnie – Ile potrzebujesz... żeby stąd uciec?

Czujność oczu dziewczyny przeszła w podejrzliwość, nieufność spojrzenia w bojażń. Jakiś czas leżała bez ruchu. Przeszyło mnie poczucie winy, że swoją propozycją sprawiłem jej tylko kłopot. Wrażenie uleciało szybko.

– Bieri, albo spier...⁷! – zamachnęła się tak, że przedmiotem kurczowo trzymanym w prawej ręce musnęła mi podbródek. Łarisa najwyraźniej wołała znane, stare zło niż nieprzewidywalną przyszłość. Czekałem, aż przestanie wymachiwać mi gumką przed nosem i uspokoi się. W końcu opuściła bezwładnie rękę.

– Skąd jesteś? – zapytałem.

Wymieniła nazwę większego miasta w Naddniestrzu, najbiedniejszym regionie Europy, lub – jeśli ktoś woli – „otwartej ranie Starego Świata”.

– Daleko – przyznałem – Nie możesz tam wrócić? – zapytałem naiwnie.

Nie odpowiedziała. Leżała bez życia. Sondowała mnie wzrokiem. Trzymana w ryzach bezwzględного rynku, obmyślała zapewne czego będę chciał w zamian. Jej szmaragdowe, duże oczy były obwiedzione ciemnymi rzęsami, nad którymi wznosiły się brwi ostrym końcem zachodzącym aż na skronie. Spoglądała na mnie z ukosa.

⁵ Znak zodiaku Bliźnięta

⁶ Teraz bierz mnie!

⁷ Bierz, albo spier...!

Wreszcie zaciśnięte dotąd na przezroczystym przedmiocie palce drgnęły, rozluźniły się i wyprostowały. Łara wypuściła z dłoni nieodłączny dotąd atrybut pracy. Lateks leżał teraz jak zużyty flak: pomarszczony i pofałdowany.

W głowie miałem pustkę. Na myśl nie przychodziło mi ani jedno stosowne do sytuacji słowo. Mogłem powiedzieć, że chcę jej pomóc, ale nie wierzyłem w „super pomagaczy”. Nie byłem nim. Niewątpliwie chciałem coś ugrać dla siebie, jakąś nagrodę, która byłaby dla mnie cenniejsza od kwoty, której mogła zażądać dziewczyna. Jakiego bonusu oczekiwałem teraz? Dałbym wiele, by się o tym dowiedzieć. Czy chciałem tylko tego, żeby o świcie – podobnie jak ja – wsiadła do jakiegoś samochodu i na zawsze opuściła to miejsce? Żeby jechała nie wiadomo dokąd i nie wiadomo z kim? Aby już nigdy nie spojrzała na mężczyznę oczyma pozbawionej wyboru ofiary?

– *Woz’mi*⁸ – rzekła. Zabrzmiało to łagodniej za sprawą obecnego w cyrylicy znaku zmiękczającego stojącego tu po „z”. – I tak musisz zapłacić. Szef zażąda pieniędzy jak tylko stąd wyjdę. – Powiedziałwszy to zamilkła.

Przez dłuższą chwilę leżała bez ruchu. Potem przechyliła się, przewróciła na lewy bok i wyciągnęła rękę w moją stronę. Szybkim ruchem rozpięła mi suwak rozporka.

Był zwiotczały, miękki i wąty. Zrobiła kilka poprawnych ruchów dłońią.

– *Gumá!*⁹ – stwierdziła ze znanstwem przesadnie akcentując ostatnią sylabę.

Poczułem się, jakby ktoś zdzielił mnie w twarz. Nie mogłem usłyszeć o sobie nic gorszego. Spuściłem głowę. Na pewien czas straciłem rezon. Najchętniej dałbym Łarisie dwadzieścia dolarów i wymknął się w mrok, narkotykowy haj i wspomnienia. Siedziałem jak sparaliżowany. Jednak już po chwili zebrałem myśli. Podniosłem głowę.

– Jak się tu znalazłaś? – Zapytałem, bardziej by zmienić temat, niż z zainteresowania.

Łara nie odpowiedziała, ale spostrzegłem, że poczuła się bezpieczniej. Chyba zaliczyła mnie do nieznanego sobie dotąd podgatunku, kogoś kto wyglądał jak mężczyzna, a jednocześnie był niegroźny. Zdeklasowany i zdegradowany nie mogłem zrobić jej już niczego złego. Z pewnością wymykałem się dotychczasowym wyobrażeniom Łarisy o silnej płci. Być kimś pozapłciowym i pozbawionym męskiego pierwiastka?

Nasze spojrzenia znowu się splotły. W jej oczach nie było pogardy, ale zaciekawienie.

Taksowała mnie wzrokiem.

– *„Ja rieszaju byt’ szciastliwej”*¹⁰ – zaczęła z przekąsem. Mówiła zrównoważonym, zmienionym tonem. – Tak ogłosiła się ta niby szkoła uwodzenia. Wtedy czułam tylko rozpacz. Brakowało mi nadziei. Zrobiłam więc ten kretyński krok – ostatnie słowa wymówiła z wyraźnym zacięciem. Potem znowu mówiła cichym, spokojnym głosem, wręcz monotonnym. Zacytowała kilka oczywistych prawd, które wtlaczano podlotkom na kursie, a gdy skończyła w powietrzu wybrzmiał jej ironiczny śmiech.

– Na koniec zawieźli nas do „*Molodiożnoj*”¹¹ – słowa Łarisy nabierały coraz większego zgorzknienia, zupełnie niewyobrażalnego w jej wieku. – Siedział pod oknem. Podobała mi się jego mocna szczęka i krótki, ciemny zarost. Był w moim typie. Chciałam mieć przy sobie kogoś silnego – ciągnęła. – Uśmiechał się, kiedy przestawał mówić – nawet teraz wspominając go, Łarisa nie mogła powstrzymać nuty fascynacji w głosie i urzeczenia. Ucichła. Po chwili zaczęła z nową energią. – Oczy błyszczały mu, bo on już wtedy wiedział, ile na mnie zarobi – jak po stromej pochyłej jej głos – z normalnego – zniżył się do tessitury barytonu. Kontynuowała relacjonującym tonem. – Po kilku spotkaniach zaprosił mnie do swojego mieszkania. Mieliliśmy oglądać telewizję i grać na komputerze. Ufałam mu. – Łarze wydawało się, że

⁸ Weż

⁹ tu: flak

¹⁰ „Postanawiam być szczęśliwa”

¹¹ „Młodzieżowa” – restauracja w Tyraspolu

przedstawia mi coraz racjonalniejsze argumenty za swoim postępowaniem, podczas gdy to sama przed sobą próbowała usprawiedliwić tę pochopną decyzję. Spojrzała na mnie, jakby spodziewała się, że ją obwiniam. Na dłuższą chwilę zamilkła. Kiedy znowu zaczęła, daremnie siła się na rzeczowy ton. Byłem tak przejęty jej wyznaniem, że z tego co mówiła umykały mi całe urywki zdań. Słyszałem tylko „drzwi zatrzasnęły się”, „w potokach wódki”, „nie!”, „powalili mnie”... Zapanowała długa cisza.

Posłyszałem kwilenie ptaka. Ptaka? O tej porze? Spojrzałem na Łarisę. Jej ciało podrygiwało w rytm cichego, potem coraz głośniejszego, żalosego łkania. – Straciłam wszelką nadzieję – mówiła z trudem i przerywanie. – Wołałam go – płacz zdusił dalsze słowa Łarisy. Mówiła coś w chwilach, w których pozwalał jej na to szloch, rozumiałem ją coraz słabiej. Wstuchiwałem się uważnie, ale udawało mi się wychwycić jedynie pojedyncze słowa. Brzmienia niektórych nie jestem pewny do dziś. – ...*smotrieli...*, *sliedujuszczij...* (być może było to: *stierieguszczij...*), *bolielo...*, *soznanje...*, *potriasionna...*¹²

Bezskutecznie próbowała powstrzymać płacz, który rozsadzał jej ciało. Chciała jeszcze coś powiedzieć, ale z urywków wyrazów nie rozumiałem niczego. Chwilami jej lament przechodził w przeciągłe zawodzenie. Wtedy nie mówiła już wcale. Wyteżałem słuch, by usłyszeć jeszcze jakąś skargę czy szept, ale dobiegał mnie czasem jedynie pojedynczy jęk.

Czułem się bezradny. Mogłem tylko trwać przy niej, nieruchomy. Lekkomysłny impuls kazał mi jej dotknąć, ale uświadomiłem sobie z czym Łarisie kojarzy się ręka mężczyzny. Cóż mogłem zrobić? Zawiadomić milicję? Przecież wielu z tych tu, było wcześniej gliniarzami. Zgłosić sprawę w MKCK¹³? Nie zajmowali się czymś takim. Nie mogłem jej najwzyczajniej ukryć i wywieźć stąd. Nie tam, dokąd jechałem. Nie mogłem jej też tu zostawić.

Odległy pomruk nałożył się na cichnące już popłakiwanie Łary. Natęzał się, wreszcie przeszedł w niski tembr dieslowskiego silnika. Znany mi już parkingowy wydając krótkie polecenia, wskazywał miejsce postoju ciężarówce. Mruczenie motoru zamarło i jego odgłos zastąpiły dźwięki arabskiego. Z potoku słów wyłowiłem jedynie „ayn”¹⁴, „dżamalun”¹⁵ i „bintun”¹⁶. Język ze względu na obecne w nim samogłoski krótkie i długie, przyjmował formę natrętnego żądania. Ciało Łarisy przebiegł dreszcz.

– Nie próbowałaś uciekać? – zapytałem.

– Nie słyszałam, żeby ktokolwiek próbował. Bałam się o siebie, rodziców, brata – czdziła wątlým głosem – ci tu, wiedzą o mnie wszystko. Chciałabym tylko umrzeć. – Wyrzuciła przed siebie obie dłonie i odwróciła je, bym zobaczył szerokie poprzeczne sznyty na przegubach. Trzymała ręce przede mną i myślałem, że robi to dla większego efektu. Ale był to gest, w jakim chciała mi podarować coś bardzo cennego. Lub wziąć ode mnie równie cenny dar.

Latarnia zablęskła kilka razy mocniej, mizerne światło płynęło z niej jakiś czas jeszcze, po czym zamarła w pośmiertnym stężeniu. Gdzieś z boku dochodziły mnie pojedyncze kłapanięcia drzwiami, śmiechy, jedno głośnie pożegnanie. Odległe głosy z intonacji których jedynie domyślałem się pytań, wyrzucanych szybkim tchnieniem przekleństw, grózb. Nasz czas mijał.

Ile potrzebowała, i ile mogłem jej dać? Miałem w pasie pieniądze starannie odliczone na diety i konwój, by dotarł do miejsca przeznaczenia, a po rozładunku bezpiecznie wrócił do Polski. Prawie dziesięć tysięcy kilometrów Dzikiego Wschodu, życie dwunastu kierowców i trzynaste, moje własne. Czas naglił. Dziesięć tysięcy razy dwanaście i dodać trzynaście... W głowie miałem zamęt i napięcie sprawiało, że zacząłem dokonywać bezsensownych obliczeń. Do tego dochodziło coraz częstsze zgrzytanie zamków i trzaskanie drzwiami oznajmujące

¹² ...patrzyli..., następny (pilnujący)..., bolało, świadomość..., obezwładniona...

¹³ Międzynarodowy Komitet Czerwonego Krzyża z siedzibą w Genewie

¹⁴ gdzie

¹⁵ piękność

¹⁶ dziewczyna

koniec tury. Wyczułem ożywienie i ruch przy ciężarówkach. Nie mogłem dłużej czekać. Lewą ręką przytrzymałem pas, by rozpiąć suwak prawą. Stałem zgarbiony, potylicą bezmyślnie uderzałem w dach, jakby ktoś pukał mnie w tył głowy. Ponowiłem próbę z suwakiem. Tym razem puścił. Pieniądze na własne diety trzymałem w przedniej przegródce. Zgarnąłem całość i palcem wskazującym oddzieliłem od reszty. Kierowcy chyba nie dadzą mi umrzeć z głodu. Za skórzany przedziałkiem pasa był budżet na konwój. Jedzenie, paliwo, ubezpieczenia, opłaty postojowe, awarie i naprawy, niesłusznie wypisywane mandaty i słusznie wręczane łapówki otwierające drogę. Również suma na dłuższy pobyt, gdyby był konieczny lub gdyby nas zatrzymano.

Parkingowa latarenka powstała z martwych i rzuciła na obskurne wnętrze nikle zmatowiałe światło. Łarisa leżała na lewym boku z głową na ramieniu, martwo patrząc w dal. Prawa ręka spoczywała wyciągnięta na długość tułowia. Przeciągnąłem wzdłuż niej wzrokiem w dół. Mała dłoń z wachlarzowato rozrzuconymi palcami znajdowała się w połowie uda. Śniade przedramię kontrastowało z bielą nóg, bielą biodra, i... Krew przyspieszyła. Z podekscytowaniem patrzyłem w dół. Czulem, jakbym dostał gorączki. Wzburzenie zawróciło mi w głowie, zmąciło myśli, uspiło rozum. Podbrzusze przyjemnie pulsowało mi w rytm uderzeń serca. Mogłem ją mieć za dwadzieścia dolarów i... światło zgasło.

Ruchami parkinsonika w pośpiechu odliczałem studolarowe banknoty. Zamęt w głowie sprawił, że zapomniałem o szacunkowym czasie pobytu, ilości planowanych noclegów i niespodziewanych wydatkach. Ze wszystkiego będę musiał się rozliczyć dopiero w Polsce, a jeśli zabraknie pieniędzy tu, co najwyżej stracę perspektywę pracy w Genewie. Jeden zmięty banknot podwinął się i zgubiłem rachubę w kalkulacji. Zacząłem liczyć od początku, kiedy stalowy sarkofag zatrzęsł się od natarczywych, ponagających uderzeń pięścią w drzwi. Czas naglił.

Pochwyciłem pęk pieniędzy, zgarnąłem je w kułak, pochyliłem się i wcisnąłem dziewczynie w brzuch, aż jęknęła z bólu. W nagłym odruchu chwyciła mnie za nadgarstek, lecz już po chwili jej dłoń zsunęła się na moją pięść. Łara sprawnym ruchem przejęła jej zawartość. Zdawało mi się nawet, że w chwilowej ciszy posłyszałem uskrzydłający szmerek przyszłości... Piąstka dziewczyny przesunęła się po moim przegubie; czy to tkliwie, czy to ostrożnie, by nie uronić nic ze swej zawartości. Kozetka drgnęła, gdy Łarisa podrzuciła w górę pośladki i jednym ruchem obciągnęła sukienkę. Wykonałem krok w tył, by dziewczyna mogła opuścić nogi i wstać. Szelest sukni, skrzywienie leżanki, szuranie tenisówek po podłodze, przypadkowe uderzenia o niespodziewane przeszkody w zamkniętej przestrzeni. Odwróciłem się i otworzyłem drzwi. Ciemność rozjaśniła kanarkowa poświata samochodowej żarówki. Zeskoczyłem z najwyższego stopnia i chyba próbowałem podać Łarze rękę. Zignorowała to, dała susa na ziemię i zrobiwszy krok dla utrzymania równowagi, zatrzymała się. Zdjęła but i w jego palcach umieściła zawartość swojej piąstki. Nawet nie spojrzała na mnie. Znowu była księżycem i nie dawała poznać mi swej ciemno-jasnej strony. Chciała już odchodzić, gdy zatrzymałem ją słowami:

– Jeszcze to – i podałem jej dwa banknoty dziesięciodolarowe. – Dla szefa – wyjaśniłem. Nie patrząc na mnie, przyjęła je bez wahania i bez słowa. Nie pożegnawszy się odeszła. Patrzyłem, jak rozplywa się w żółtawej aureoli niczym dobry duszek. Potem daremnie szukałem w ciemności choćby cienia jej drobnego kształtu sarenki. Dała mi o sobie znać dopiero, gdy usłyszałem chrobot grysu na szutrowej ścieżce.

W oddali słychać było gwar ściszonych rozmów kobiet, które dzieliły się wrażeniami. Zaraz potem wyłowilem z dźwięków jeden głośniejszy:

– *Gumá!* – gdy Łarisa zrównała się z grupą.

Mocno podkreślone jedyne „a” pozbawiło mnie złudzeń co do tego, że chodziło jej o początek dłuższego i inaczej akcentowanego: „Gumanitárka”.

Wsparłem się o zwilgotniały zderzak ciężarówki. Na przedramieniu poczułem przemo-
kłą krepę czerwonokrzyskiej flagi. Staralem się oddychać miarowo. Potem ruszyłem w mrok.
Daremnie próbowałem nie myśleć o niczym. Jak przed śmiercią, w oczach miałem swoją au-
tobiografię w obrazach. Fragmenty wspomnień z rodzinnego domu, szkoły, sceny ze studiów,
pracy, wojen. Także zgrabny, przeczący gest smukłej dziewczyny i słowa z niedalekiej prze-
szłości: – Jak będzie wyglądało moje życie, jeśli ty będziesz stale wyjeżdżał, a ja nawet nie
będę pewna czy cię jeszcze zobaczę? Nie było mi łatwiej ze świadomością, że osobom spod
znaku Bliźniąt brakuje dobrej oceny innych i ich intencji. To, że osądzają ludzi powierzchow-
nie i tworzą sobie ich fałszywy obraz, też było marnym pocieszeniem. „Chyba niedługo będą
jej urodziny” – pomyślałem.

Przechodziłem obok kordonów tirów i słyszałem najróżniejsze języki. Plandeka jedno-
go z samochodów załotała w silniejszym powiewie, jak ostatni sztandar pogromionej armii.
Doszedłem do drogi wyjazdowej z parkingu i w miejscu, gdzie rozdawała się, zobaczyłem
znany sobie kamień. Widziany z nowej perspektywy był masywny i kłocowaty, miał w sobie
coś hiobowego. Podszedłem i wsparłem się weń, jakbym się dławił, jakby brakowało mi tchu.
Zimny głaz ociekał nie wiedzieć czym: wilgocią, deszczem, czy łzami. Z tej odległości nikt
nie mógł usłyszeć mojego wołania:

– *Wot Bliźniacy!*¹⁷

¹⁷ Takie są bliźnięta!

II nagroda

Elżbieta Lipska – godło *Raban*

Powiew

Nassim odkąd pamięta, nigdy nie śniła. Dziewiętnaście lat życia i ani jednego snu. Każdej nocy zapadała w ciemność i o świcie budziła się do życia, dzień za dniem. Może to dobrze, do czego potrzebne są sny? We śnie, czyli konkretnie gdzie? To abstrakcyjne i niezrozumiałe.

Dopiero ostatnio odkryła tę odmiennosc. Przyjaciółki przypisywały snom proroczą rolę w życiu – one istniały naprawdę i miały moc przewidywania przyszłości. Barwne nasycone znaczeniem obrazy, fantastyczne postacie, kolory i zapachy nie z tego świata, skrywane w zakamarkach uczucia, sensne zjawy i symbole, znaki z innych wymiarów, uwolniony z narzuconych norm wszechświat, przeżycia zarezerwowane dla uśpionego umysłu, szeroko otwarte drzwi do własnej duszy, dla niej pozostawały niedostępne. Próbując poznać samą siebie, swój wewnętrzny zawikłany świat, napotykała na pustkę tam, gdzie inni odkrywali tajemne ścieżki. Jedna trzecia jej życia była nicością, przerwą w istnieniu.

Wymyśliła sobie, że cały zapas snów musiała wyczerpać wtedy, przez nieskończone trzydzieści siedem godzin, w pyle, w ocalających objęciach nieżyjącej matki – przecież musiała śnić, to jedyne wytłumaczenie jej ocalenia. Resztę bezpowrotnie wchłonął piach i kurz, pochłonęły ruiny rodzinnego domu. Nie mogła pamiętać – miała zaledwie pół roku, była niemowlęciem, istotą ludzką nieświadomą i całkowicie zależną od innych, ocaloną przez martwą matkę.

Teraz siedziała w słońcu, w kawiarnianym ogródku, obok hałaśliwej, wypełnionej dźwiękami klaksonów ulicy, przy stole nakrytym lnianym obrusem i przezroczystą ceratą. Na otaczających ścianach pyszniły się barwne mozaiki, a przed nią, na kolorowym spodku stała szklanka parującej słodkiej herbaty i miseczka daktyli. Z sąsiadującego meczetu zaczęły płynąć jednostajne dźwięki modlitwy muezina. Myśli mieszały się z herbacianym aromatem i słodyczą owoców, splecione razem ulatywały w gwar miasta. Czekala na spóźnioną przyjaciółkę. Chusta, którą zawsze okrywała włosy, zsunęła się na ramiona, ołówek zawisł pomiędzy szczupłymi palcami, notes czekał nieruchomo na stoliku na kolejne zdania, ale ona myślami była daleko.

Nie zauważyła, gdy przy sąsiednim stole usiadł starszy człowiek. Siwy, z ogorzałą twarzą, energiczny choć lekko przygarbiony, dostojny – w jego oczach dostrzegła dogłębną, odległą smutek. Kelner postawił i przed nim miseczkę pysznie dojrziałych daktyli, imbryk z parującą herbatą i szklankę, a on wyciągnął z wewnętrznej kieszeni marynarki nieco pomięty tomik z papierową zakładką pomiędzy kartkami. Rozejrzał się po ulicy nieobecny wzrokiem.

Spojrzał też na Nassim. Popatrzył dalej, ale po dłuższej chwili wrócił do niej wzrokiem. Nie spieszyła się, odwzajemniła spojrzenie. Nie dostrzegła w nim ciekawości, raczej zdziwienie albo nieuchronność, może wspomnienie. Na pewno go nie znała, widziała go po raz pierwszy w życiu, a jednak nie był jej obcy.

Przypatrywał się jej dłuższą chwilę – nie natrętnie, ale i nie skrycie, ze spokojem, odszukując w pamięci konteksty i powiązania. Odwróciła wzrok, próbowała spoglądać na ulicę. Spóźnialska koleżanka mogłaby wreszcie przyjść – pomyślała. Gdy spojrzała znów w jego stronę, bez słowa podała jej książkę. Zawahała się, ale zachęcił ją gestem, więc wzięła ją do ręki.

Tomik poezji Hafeza – zużyty, wyczytany, musiał mu towarzyszyć od dawna. Otworzyła na założonej stronie. Zakładka to było zdjęcie, może rysunek, stary i wytarty od częstego oglądania – spojrzenia wycierały obraz. Była na nim dziewczynka – mała, kilkuletnia, z długimi włosami, bystrym spojrzeniem, roześmiana.

Usłyszała jej dziecięcy perlisty śmiech. Obok dziewczynki lalka. Piękna i duża, niemal dorównywała jej wzrostem. Gdyby nie pusty wzrok ciemnych, szklanych oczu, można by pomyśleć że to siostry. Nassim wpatrywała się w zdjęcie-rysunek. Znała tę dziewczynkę, znała ją bez dwóch zdań, miała pamięć do twarzy.

Czekała aż obraz do niej przemówi – powie kim jest, skąd się znają, dlaczego ona, dlaczego teraz. Dziewczynka uśmiechała się do niej figlarnie, w jej spojrzeniu odczytywała zaproszenie, dotknęła delikatnie jej twarzy, pogładziła bujne włosy, odwzajemniła uśmiech. Im bardziej się przyglądała, tym bardziej obraz ją pociągał.

Podniosła pytający wzrok na mężczyznę. Siedział nieruchomo, patrząc na nią łagodnie, miał łzy w oczach, cały drżał. Ponownie spojrzała na zdjęcie. Nie mogła odwrócić wzroku, przyciągało ją z wielką mocą. Poczula się jak zawieszona w przestrzeni między spojrzeniami dziewczynki i lalki a wzrokiem mężczyzny.

Kto jest na zdjęciu, kim jest ten mężczyzna, kim ona jest w tej sytuacji i dlaczego zna to dziecko, o co chodzi lalce? Chciała uciec, ale nie potrafiła. Była tu poza czasem i miejscem. Istniały tylko trzy wpatrzone w nią pary oczu, nawet martwe oczy lalki ożyły. Musiała coś zrobić, zareagować. Zaschło jej w gardle, bezwiednie sięgnęła po szklankę z herbatą, o mało jej nie przewróciła. Przełknęła łyk słodkiego napoju.

Podniosła zdjęcie wyżej, w stronę słońca. Jaskrawe promienie oświetliły dziecięcą rumianą buzię, zamigotały w oczach lalki. Nassim – wyraźnie to usłyszała – Nassim. Kto to powiedział – dziecko czy lalka? Lalka, która mówi – obraz, który mówi? Niemożliwe, one nie są prawdziwe. Nassim – teraz słyszała wyraźnie wysoki dziecięcy głos, dochodził wprost ze zdjęcia. Skąd zna jej imię?

Rozsądek podpowiadał – uciekaj, ale ona została. Znowu podniosła wzrok na mężczyznę. Nie odrywał od niej oczu, płakał, nie próbował tego ukryć. Drżącym gestem pokazał, żeby odwróciła zdjęcie. Jeszcze raz spojrzała na dziewczynkę i na lalkę. Dziecko uśmiechało się zachęcająco. Lalka ponaglącym, zimnym wzrokiem mówiła – no dalej, odwróć, na co czekasz?

Rewers zdjęcia był pozółtkły i wyblakły. Dwie żółte nieregularne plamy, jedno słowo, jedna liczba – Nassim, 2003.

Wtedy.

Nazywamy się Nassim, nazywamy się powiew.

Tej nocy powróciły sny.

III nagroda

Witold Kopec – godło *Duch i Litera*

W rytmie fortepianu

O! Ty — co się w **Dziejach** zowiesz **Era**,
Gdzie zaś ani historii zenit jest,
Zwiesz się razem: **Duchem i Literą**
I „**consummatum est**” —
(C. K. Norwid *Fortepian Szopena*)

Pod świętą opieką

*Byłem u Ciebie w te dni przedostatnie
Niedocieczonego wątku — —*

Początkiem i przeznaczeniem Sztuki jest Miłość. Młodzieńcze zauroczenie pełne zapалу i podniebnych uniesień, przed którym świat cały stoi otworem. Franciszkańska pogodna miłość, która pragnie dzielić się dobrocią z każdym stworzeniem. Wreszcie – miłość dramatyczna – miłość raniona i doświadczona, która próbuje w świecie rozdartym odnaleźć sens i ocalenie.

Te różne przejawy ludzkiej miłości obecne są w poezji Kazimierza Wierzyńskiego. Któż nie pamięta tych szalonych wierszy, w których zielona i fiołkowa radość łączy się bez troską, w których uśmiech, traf i niespodzianka, lekkie jak korek od szampana, poszukują bez wytchnienia piątej strony świata? I któż mógłby zapomnieć te lata dwudzieste? Lub lata trzydzieste – w których dawny entuzjazm ustąpił miejsca poważnej refleksji. Kazimierz Wierzyński, widząc narodziny nowych totalitaryzmów u granic II Rzeczypospolitej, powraca wtedy do romantycznych symboli i pisze wiersze odwołujące się do naszej narodowej dumy (*Skazuję was na wielkość. Bez niej zewsząd zguba*) i do klęski „Ojczyzny Chochołów” (*Z czego budu-*

jesz kraj ten? / Z ludzi, których nie ma,). Nawiązuje też do wiecznej romantycznej miłości (*Miłość jest tylko jedna*) i do nieśmiertelnej sztuki, pisząc w 1938 roku – w te dni przedostatnie – wiersz pt. „Szopen”:

*Jakże słodko pod świętą kołować opieką,
W jezioro falujące rozkołysać wieko,
Po szkłe klawiszów skakać i biec jak po schodach.
Po mgłę, po pajęczynie, po srebrnych ogrodach,
Anielską, lekką stopą, promieniem i smugą,
Coraz wyżej i święciej... Ach, tylko jak długo?*

W rytmie chopinowskich klawiszy zapisane są poruszenia i pragnienia człowieczego serca, porządek rzeczy i wola podążania ku Nieskończoności, w której błyska Słowo – Duch i Litera – miłosna więź doskonałości – ikona poezji i myśli.

Słowo-Litera uwielbia świat rzeczy. Pochłania kształty słoneczne i dźwięki. Jest w niej czuła obecność, nić porozumienia, chwila spokoju, praca kamienna i życia wytrwałość, zachwyty najzwyklejszy w kręgu fotografii, kartka z podróży z cytatem z sonetu.

Zaś Duch-Słowa rozciąga się niczym struna milczenia w kolorach ognia na samotnym brzegu. Żyje w sercu zegara ze starego drewna, który odmierza łzawe tęsknoty, szare legendy i posrebrzane mity. Trwa, aby poznać sens tajemniczy świętej przemiany w obłoku sumienia. I jest w nim wieczny niepokój o zachodniej zorzy, gwiazdne czuwanie, przecucie wiatru w puchowym natchnieniu i niedokończony wers i poemat.

Falujące rozkołysać wieko

*— Pełne jak mit,
Blade jak świt,*

W poezji Kazimierza Wierzyńskiego niezwykczony Duch-Słowa jawi się jako ukojenie dla rozdartej miłości – jako czuły powiernik snów ponizonych i marzeń przybitych. Przekracza horyzont niezmierny krwi i cierpienia i odnajduje sens ponad klęską w pochmurnym błękicie. Jeden ze swoich wojennych wierszy kończy poeta słowami:

*Jak wyjść nad rozpacz, wszystkie rany,
Nad ziemski czas i ruch zegara
I czytać z wieków los wybrany,*

Odnaleźć sens ludzkiej egzystencji, to znaczy rozpoznać uniwersalne prawa panujące na rozkołysanym morzu historii – ponad erą i ponad wiekiem. Dlatego poeta ukazuje dzieje świata jako nieustanną walkę pomiędzy uzbrojoną po zęby armią barbarzyńców, a zastępem niezłomnych, którzy dzierżą – blade jak świt – podniebne sztandary. Walkę, której towarzyszy obojętna postawa zwolenników powszechnej ugody. Owi niezłomni – to obrońcy śródziemnomorskiej i łacińskiej cywilizacji, wskrzeszeni przez poetę w micie Przedmurza:

*A jeśliby który padł
Niechby jak kamień zarósł
I wiecznie trwał,
Ostrolicy.
Niezłomny.
Civis Romanus,
Głaz na granicy.*

Wierzyński odwołuje się również do modnego w romantyzmie mitu Prometeusza, który:

Na górach łańcuchami przykuty do skały,

[...]

*Nie wyrzekł się wolności i uparł się przy niej
I okiem swe dalekie obchodzi zastępy.*

I który, niezależnie od okoliczności, wytrwa przy ogniu swoim. Motyw wierności obecny jest także w wierszu „Na rozwiązanie Armii Krajowej”. Szlachetny sztandar mocą Słowa-Ducha staje się Chrystusową szatą, zaś niezawinione cierpienie w sposób tajemniczy łączy się z męką Zbawiciela:

*Zwinąć chorągiew z masztu. Krepą jest zasnuta
Za dywizję Rataja, Okrzei. Traugutta.
Pociąć sztandar w kawałki. Rozdać śród żołnierzy,
Na drogę, niech go wezmą. Na sercu niech leży.*

Słowa te stają się duchowym testamentem – mesjanistycznym przesłaniem na niepewne czasy. Uświadamiają, że każdy z nas nosi w sobie cząstkę odpowiedzialności za trudną Ojczyznę.

Promieniem i smugą

— *Gdy życia koniec szepce do początku:
„Nie stargam cię ja — nie! — Ja, u-wydatnię!...”*

Duch-Słowa niesie w sobie moc świadectwa. Przechowuje wiernie obraz Ojczyzny odzyskanej i utraconej. Karmi się wieczną pamięcią o Polsce niesionej na drogach wygnania. Jeden ze swoich emigracyjnych wierszy poeta rozpoczyna słowem – apelem:

*Ktokolwiek jesteś bez ojczyzny,
Wstąp tu, gdzie czekam po kryjomu:
W ugornej pustce jałowizny
Będziemy razem nie mieć domu.*

Czy możemy istnieć i rozwijać się pomimo braku umiłowanej ojczyzny? Czy jesteśmy w stanie ocalić nasze narodowe trwanie z dala od ziemskiego domu? Odpowiedzi poszukujemy w odwiecznym pytaniu: mieć czy być? oraz w dramatycznym zderzeniu istnienia i braku. Braku, który jest tęsknotą zdolną uwydatnić „rzeczy przeminięte”. I przemienić je pracą Ducha w niezniszczalną nową postać – w nadziemski kształt Ojcowizny, któremu na imię Istnienie – Człowiek i Wspólnota. Wspólnota, którą współtworzyć może każdy. Kimkolwiek jest.

Zdeptana Wolność i Prawda zdradzona – to kolejne ikony walki o narodowe trwanie. W obliczu spodziewanej klęski Powstania Warszawskiego poeta napisze dramatyczne strofy:

*Jeśli padnie Warszawa, to nie miasto padnie,
I nie polska stolica w podziemiach swych skona,
Lecz wolność wszystkich ludzi, zdeptana gdzieś na dnie,
I prawda wszystkich czasów, przez wszystkich zdradzona.*

W zastygłym promieniu przysypanej prawdy i w ognistej smudze rozwianej wolności wyraża się w pełni głód naszego istnienia, albowiem to właśnie w nich żyjemy, poruszamy się i jesteśmy. Nieustannie pragniemy wolności, która z ziemi wyrośnie – i prawdy, która wyjrzy z nieba. Prawdy, która w słowie poety staje się porządkiem stworzenia i głosem sumienia, drogą powołania i wieńcem braterstwa. Wolności, która jest apostołstwem pór dnia i pór roku, służbą zmiany i trwania – przestrzenią dla wszystkich, którzy czynią sobie ziemię poddaną.

Biec jak po schodach

*A w tem, coś grał, taka była prostota
Doskonłości Peryklejskiej*

Ów biblijny nakaz codziennej uprawy w pełni współgra z charakterem powojennych wierszy poety z Drohobycza. Kazimierz Wierzyński rezygnuje w nich z klasycznej wersyfikacji na rzecz zwięzłości opisu połączonego nierządkiem z grą słów. To, co było pieśnią i mitem zostaje zastąpione najprostszą i najzwyczajszą opowieścią, inspirowaną przez „Muzy”:

Wyprowadźcie mnie stąd, lutnistę

[...]

Wasze światło jest czyste,

Wasza prawda prawdziwa,

Wasze sny rzeczywiste

Ocaleniem, które przywraca sens ponad klęską staje się język poetycki – Słowo – Literatura. Słowo, które po stopniach codziennej prostoty wspina się ku szczytom doskonałości.

Boże, Boże,

Nie daj się smucić mojej żonie,

Ona jest wszystkim, co mi zostało,

Marzeniem, pisaniem,

Kwiatami na dworze,

Brzozą białą.

W tym niezwykłym wierszu, dedykowanym najbliższej osobie, poeta przy pomocy zaledwie kilku słów, potrafi oddać wiernie atmosferę domowej czułości. Ukazuje zwyczajne gesty, które w sposób cudowny budują więź doskonałą. I łączy po mistrzowsku esencję i artyzm poezji z pięknem i smakiem spełnionej miłości.

Rano, kiedy gotuję kawę,

Stucham: ona oddycha głęboko, śpi.

Co mam najlepszego,

Pierwsze myśli, muzę moją,

Zanoszę jej do pokoju,

Kładę [...]

[...] u drzwi.

Po srebrnych ogrodach

I była w tem Polska, od zenitu

Wszchedoskonałości dziejów

Wzięta, tęczę zachwytu — —

W ogrodach poezji odnajdujemy profil Słowa, któremu na imię zachwyty. Odkrywamy pasję poszukiwania nowości i przywracania do życia zapomnianych kształtów.

Owa ciekawość wobec ludzi i świata nieobca była autorowi „Wiosny i wina”. Kazimierz Wierzyński, wzorem swojego mistrza Leopolda Staffa, stawiał ponadczasowy gmach sztuki ponad ruiną historii i wierzył w miłosierdzie, zdolne strumień łez wycisnąć z kamienia. Dzięki temu wytrwale budował przymierze ze środowiskami o odmiennym spojrzeniu na świat.

Przykładem takiej postawy była współpraca Kazimierza Wierzyńskiego z liberalną „Kulturą”. Poeta nie podzielał filozofii Jerzego Giedroycia i jego felietonistów, którzy szukali kompromisu z marksizmem i mieli inny pogląd na kwestię ukraińską i status Wilna i Lwowa. Niemniej jednak ten wybitny twórca odnajdywał w paryskim wydawnictwie przestrzeń wymiany myśli, która ubogaca, ożywia perspektywę i przywraca nadzieję.

Autor „Wolności tragicznej” umiał też docenić talent Juliana Tuwima, mimo że po wojnie drogi obu poetów całkowicie się rozeszły. Autor „Lokomotywy” mocno zaskakiwał swoim bezwarunkowym poparciem dla komunizmu i wiarą w wielkość Polski, która może dokonać się tylko u boku wschodniego sąsiada. Jednak Kazimierz Wierzyński – zagorzały zwolennik i duchowy spadkobierca Józefa Piłsudskiego – potrafił zachować dobre wspomnienie o swoim dawnym skamandryckim koledze:

W naszej polszczyźnie, w konieczynie,

Gęsto i ciepło jest od miodu,

*Środkiem szumiący Tuwim płynie
Ze swego źródła, słoworodu.*

Dzięki franciszkańskiemu uosobieniu mógł poeta docenić twórców obcego pochodzenia, co nie było wcale łatwe w przedwojennej Polsce. Pomimo opinii środowisk narodowych, zarzucających twórczości Bolesława Leśmiana manieryzm, słabe poczucie językowe i emanację żydowskiej duszy, Kazimierz Wierzyński potrafił dostrzec u autora „Łąki” – „nadludzki trud osiągający nadziemskie cele”: i odnaleźć „mit poszerzonego istnienia”.

*Przyleciał nad miasto, spojrział – bezrozumne.
Chodził ulicami i ludzi się pytał,
A co rzekł słowo, gałęzie obrastały go szumne,
I w oknie wysoko kwiat zakwitał...*

Coraz wyżej... Jak długo?

*I — oto — pieśń skończyłeś — i [...]
[...] słyszę
[...]
— A to jeszcze klóć się klawisze*

Duch-Słowa i Litera zawierają w sobie odwieczną tajemnicę ludzkiej kruchości i przemijania. Czym bowiem jest nasze istnienie w rytmie rozdzielania i przyciągania rozumu i serca? Czym jest ludzka dusza pozbawiona odniesienia do materii? Najwyżej – sercem bezradnym i pękniętym w swym gniewie. I czym jest ciało pozbawione snów niewidzialnych? Myślą tylko – szaloną, która w popłochu biegnie od negacji do nicości i postępu nie czyni. I dlatego w swoim ostatnim wierszu poeta napisze:

*Jedno serce podzielone na sto,
Jedna myśl oszalała w pszczelnym roju,
Jeden rozum pomieszany na morzu sprzeczności.*

Czy serce podzielone i myśl oszalała na morzu sprzeczności są zawsze synonimem rozbicia? Odpowiedź przynosi Ten, Który chodził po wodzie i czynił cuda, by uratować świat winny. Który zapatrzony w niebo rozdawał obficie chleb na pustyni. Który podążając „wciąż wyżej i święciej”, przemienił – i nadał przemienia – mocą Słowa-Ducha – serca podzielone na sto w ucztę miłosiernej miłości. I Ten, Który bogactwem Słowa-Litery nadaje jeden kierunek myślom rozproszonym w oceanie przeciwności.

*I Który przywraca sens i niewinność.
A jednak suchą stopą przechodził po wodzie
Bóg wiara, czynił cuda i konał za innych,
Sen piekło potępionych i niebo niewinnych,
Sen zbawienie, sen kara,
Jeden na sto,
Morze bez dna,*

Głębia, co wciąż faluje pod słodką powieką. Sen o potędze – pamięć niezłomna, żar powołania i sens ponad klęską. Trud ciężkiej pracy, która w rzeczy prostej rzeźbi kształt i doskonałość. Pragnienie spotkania słów nieznanomych, by znać tęsknoty i zrozumieć innych... Wielkość – w akordzie i rytmie...

Wyróżnienie

Zbigniew Kostrzewa – godło *Senior*

R ę k a w i c z k a

Skecz patriotyczno-idiotyczny

Rękawicznik

Klient

K: Dzień dobry.

R: Dzień dobry.

K: Chciałem kupić rękawiczkę.

R: Jedną?

K: Tak, jedną.

R: Właściwie to nie sprzedajemy pojedynczych egzemplarzy.

K: To dziwne. A to dlaczego? Jak klient ma na przykład jedną rękę, to po cholere mu druga rękawiczka. I co, też nie sprzedacie?

R: Sprzedajemy tradycyjnie parę i płaci za dwie.

K: Ale ja chcę jedną i to na specjalne zamówienie.

R: Nie rozumiem.

K: Jedną, na lewą rękę i to bez środkowego palca.

R: Aaa... teraz rozumiem. Pan szanowny zleca specjalne zamówienie do wykonania w naszym warsztacie artystycznego rękodzieła.

K: Jak rękawiczka to wiadomo, że rękodzieła. A czy artystycznego to się okaże.

R: Bez środkowego palca, to ciekawe.

K: Dobrze, że tylko bez środkowego.

R: A to dlaczego?
K: Bo mogły polecieć i wszystkie pozostałe palce. Jak w sieczkarni.
R: No to wtedy rękawiczka byłaby bez palców. Teraz taka moda.
K: Moda nie moda. Ale...
R: Słucham?
K: Musi być jeszcze kolorowa.
R: Kolorowa? Tego to już naprawdę nie przyswajam.
K: Biało-czerwona. Barwy narodowe, jak nasza flaga. Żeby można machać jak chorągiewką (macha ręką).
R: Patriotyczny akcent.
K: I kłaść na lewej piersi, pardon, na sercu, w czasie grania hymnu narodowego. Tego jeszcze nie było. Nikt dotąd nie wymyślił. Dopiero ja.
R: To prawda. Prawdziwy z pana patriota.
K: To nie wszystko.
R: A co jeszcze?
K: Salutuję obowiązkowo w rękawicze, jak jestem w galowym mundurze.
R: Lewą ręką? A co z prawą?
K: Zapomniałem panu powiedzieć, że jestem mańkutem. Prawej prawie nie używam.
R: Jak to?
K: Przeważnie trzymam w kieszeni.
R: Czyżby kieszeń miała dziurę?
K: Tylko proszę bez głupich aluzji...
R: Głupie, jak głupie, ale przyjemne... Wiem coś z własnego doświadczenia. Przepraszam,... wracajmy do pana życzeń.
K: Mam jeszcze jedno.
R: Słucham.
K: Rękawiczka musi mieć etui, jakieś ozdobne opakowanie, to może być pudełko, sam nie wiem, jakiś pokrowiec, futerał... to już pan musi zdecydować.
R: Tego już nie rozumiem. Po co?
K: Jak to po co? A na okulary, aparat słuchowy, biżuterię, przybory kosmetyczne, itd. *et cetera*, to *etui* pana nie dziwi? Tym bardziej że często muszę rękawiczkę zdejmować.
R: Często?
K: Tak, często, na przykład do posiłków, czy choćby w toalecie, którą muszę odwiedzać często, bo nieszczęścia lubią chodzić parami, jak na przykład przerost ambicji z przerostem prostaty, tyle że akurat z prostatą nie ma żartów... Na szczęście pampersów jeszcze, póki co nie noszę.
R: Ma pan szczęście.

K: I muszę to robić, to znaczy odcedzać kartofelki dość precyzyjnie, a w rękawiczce i niewygodnie i można by jeszcze, że tak powiem, prysnąć na sąsiada. Zdradzę panu tajemnicę – w dzieciństwie zostałem obrzezany, choć nie jestem wyznania Mojżeszowego – (to była pomyłka, ale o tym może przy innej okazji) – zabiegu tego dokonał rzeźnik Saul z Konstancina, który miał takie ulubione skośne cięcie i przez to cięcie dzisiaj muszę w toalecie bardzo uważać, żeby sąsiadowi z lewej strony nie zamoczyć prawego buta. Czy pan to sobie wyobraża?

R: Teraz sobie i wyobrażam i nawet pana rozumiem... i trochę współczuję.

K: Współczuję?

R: Tak, bo jak się czasem zdarzy, że pan sąsiadowi z lewej zmoczy prawego buta, to może pan nawet, jak to mówią u nas dostać w ryja. Ale pardon, my zamiast o rękawiczce mówimy tu nie na temat, bo o bucie. Więc wracajmy do rękawiczki. Czy ma pan jeszcze jakieś życzenie?

K: Ostatnie. Żeby rękawiczka była, broń Boże nie ze skóry, tylko koniecznie robiona z wełny, na drutach. Jak rękodzielo to rękodzielo.

R: Nie ma problemu.

K: No to załatwione. A kiedy będzie gotowa? Bo w sobotę chciałbym już w niej wziąć udział w Marszu Niepodległości.

R: Będzie, niech pan będzie spokojny. Ale powiem coś panu jeszcze. Ponieważ takiego klienta – patriotę mamy po raz pierwszy, moja firma gratisowo wykona dla pana dodatkowo – parę skarpetek w barwach narodowych – lewa czerwona, prawa biała, a także biało-czerwony szalik, nauszники ma się rozumieć – lewe ucho czerwone, prawe białe, czerwoną czapkę z białym daszkiem i wszystko oczywiście na drutach. Nie wiem tylko, czy zrobimy etui na skarpetki.

K: A to dlaczego?

R: Etui będzie pan musiał sobie kupić... na ostrogi, żeby zamiast hasła „boso, ale w ostrogach” defilować w Marszu Niepodległości w skarpetkach z ostrogami.

K: Pan sobie kpi.

R: Nie proszę pana. I już na koniec jeszcze jedno – przy odbiorze towaru prosimy o okazanie zaświadczenia o zakończonej kuracji. Nie muszę dodawać od jakiego specjalisty.

K: Zgoda, ale najpierw to pan musi okazać takie samo zaświadczenie. Inaczej nie zapłacę, nawet za rękawiczkę...

Opuszczają scenę razem śpiewając – *Przybyli ulani pod okienko...*

Spis treści

Wstęp	7
Protokół.....	8
Bolesław Sawicki	11
Zbigniew A. Łobodziński.....	14
Katarzyna Szewczyk	17
Monika Szymczakowska	20
Joanna Matlachowska-Pala	24
Agnieszka Rautman-Szczepańska	26
Dariusz Krasnodębski	31
Elżbieta Lipska.....	39
Witold Kopeć	41
Zbigniew Kostrzewa	46

ISBN 978-83-955228-6-4

Unia Polskich Pisarzy Lekarzy

Warszawa 2021

